

The Truth Is Out There.

Future Is Now.

Wróciłem z zatłoczonego Kościoła do chałupy. Zrzuciłem garnitur i wciągnąłem luźne spodnie. Wyszedłem na podwórze dziarskim krokiem i spojrzałem w górę - na niebo. Słońce było już wysoko, a wokół niego ani jednej chmury. Wielki, głęboki błękit. Zapowiadał się prawdziwy skwar i susza. Rozejrzałem się na boki po zagrodzie. Wszystko kwitło, pachniało, gziło się, podskakiwało... Pięknie. Gęsi dreptały za kaczkami, prosiaki za kurami, koty wygrzewały się na parapetach, a psy lizały sobie tyłki. Zawsze miło na coś takiego popatrzeć i podumać nad wyższością natury ludzkiej nad zwierzęcą. Nic przecież tak człowieka nie buduje jak prawdziwa, świętobliwa pogarda. Zwłaszcza po łacińskiej Mszy Świętej.

Tak ogromnie ubogacony udałem się za stodołę. Tam, przy samej ścianie suszyła się wysoka góra skoszonej trawy i pachniała tak, jak pachnie suszona góra skoszonej trawy ułożona przy drewnianej ścianie. Zaległem sobie w tej miękkości i w tym zapachu, i grzebiąc słomką w zębach, zacząłem rozmyślać. Sam nie wiem skąd mi się to bierze i nie wiem czemu ma służyć, ale przychodzą na mnie czasem takie momenty - najczęściej w niedzielne popołudnia, gdy nie ma nic do roboty - że myślę. Nie potrafię już się przed tym bronić, a wiem, że powinienem - zwłaszcza dlatego, że nie myślę wtedy o tym, co trzeba, co wzmacnia, ale o głupotach. Tak samo było wtedy.

Myślałem o młodości - o latach podstawówki i technikum. O tych czasach niedobrych, kiedy był bałagan i chaos; gazety w kioskach, papierosy, amerykańskie filmy w telewizji, piwo i złe media, i setki innych, diabelskich pokus. I, Matko wybacz, przyszło mi nawet do głowy, że wtedy było lepiej!

Słońce piekło w ten głupi łeb i chyba nawet przygrzało w kroku, bo chwilę później nadeszło jeszcze gorsze - zacząłem myśleć o babach.

Przed oczami, jak świnię, zaczęły przechodzić sprośności. Pamiętałem różne rzeczy z tej przeklętej młodości, bo zwyczajnie nie mogłem o nich zapomnieć.

Nie mogłem zapomnieć na przykład tego, że w czasach przejściowych, w takie dni jak ten, kobiety chodziły w przewiewnych, cienkich spódnicach. Te były tak wulgarnie krótkie, że odsłaniały nie tylko kostki, kolana, bo to by było pół biedy jeszcze, ale często nawet uda. Miałem to przed oczami. Widziałem to, przysięgam. Pamiętam nawet, że raz taka weszła na drabinę i wtedy było jej widać...

Cycki spod bluzki. To inna sprawa. Chodzi mi tutaj o bluzeczki, bo z nimi było tak samo. Szyto je w tak dziwny sposób, bezmyślnie albo oszczędnie, że były do niczego; nie spełniały swojej podstawowej funkcji. Krągłe fragmenty gruczołów mlecznych pozostawały widoczne! Duże, małe, noga, młode, stare, pupa, wiszące, jak u mamy, sterczące, miękkie, blade, śniade, gacie... Zaczynało mnie, o zgrozo, ponosić, a rękę w spodnie czort zaprowadził.

Nie trwało to - na szczęście - długo, dzięki Bozi, bo oto przed moimi oczami stanął widok nieprzyjemny: Nuka - suka, która co chwilę się szczeni - znów stała dupą sklejoną z psem Proboszcza. Zerwałem się natychmiast i z buta zastosowałem antykoncepcję dozwoloną. Świst, jęk, plask, chlast i już... stały obok,

osobno.

Bardzo mi ulżyło i odeszły świńskie myśli - jak ręką odjął.

Odruchowo chwyciłem Różaniec, żeby podziękować Dziewicy za ratunek i przeprosić jak najprędzej. Stało się - stanął przecież - i samo się nie odstanie. Trzeba odpokutować, odpłacić, resztki myślozbrodni wyrzucić z serca i rozdeptać to plugawe robactwo.

Założyłem, że dwieście pięćdziesiąt paciorków wystarczy, pamiętając, że onanizm zupełny policja każe pięćsetką.

Dla pewności i lepszego efektu naciąłem jednak też skórę na brzuchu, na Krzyż Pański, i spoliczkowałem się trzykrotnie - w imię Ojca i Syna, i Matki Świętej.

No i zacząłem samo-umartwianie. Obracając święte kuleczki w brudnej ręce modliłem się i przeklinałem siebie.

Nie wiem dokładnie ile zrobiłem obrotów. Nie wiem też, czy kręciłem szybciej niż zwykle, czy wolniej, czy bardziej się upodliłem, czy mniej, raczej nie. Myślę, że modliłem się normalnie, klasycznie.

I wtedy usłyszałem świst, grzmot, huk! Podniosłem wzrok, poraził mnie błysk, fala gorąca uderzyła w twarz. Zatrzęsła się ziemia. Różaniec wypadł z ręki!

Kłęczałem, jak wcześniej - zupełnie ogłupiony i całkiem ślepy. "Żyję? Nie żyję? Żyję. Bomba? Piorun? Dupa? Meteoryt?" - takie myśli chodziły mi po głowie. Wzrok, na szczęście, po chwili zaczął powracać, a to po to bym mógł zweryfikować, i wreszcie znów widziałem normalnie. Ale i tak nic nie widziałem. Dookoła unosił się bowiem gęsty dym i tumany kurzu. Ja sam obficie obsypany zostałem tym piaskiem, trawą i dżdżownicą; na spodniach, ramionach, we włosach i we włoskach.

Piasek powoli opadał i w końcu opadł zupełnie. I co? - Bomba? Meteoryt? Piorun? Lepiej. Rzeczywistość okazała się jeszcze ciekawsza.

Jakieś dwadzieścia kroków na wprost ode mnie, w świeżo przeoranym polu, lśniła kupa żelaza na kształt kuli, zagrzebana do połowy w gruncie rzeczy. Ozdobiona ze wszystkich stron antenkami, okienkami, błyskotkami, światełkami, choinką... No, UFO! UFO jak w mordę strzelił!

W tym momencie już widziałem wyraźnie. Widziałem je. Tak samo, jak Moniki majty od dołu. I nikt mi nie wmówi, że nie widziałem.

A byłem jeszcze trzeźwy, trawy nie palę nigdy. Ja tylko z niej liny skręcam.

Stałem, patrzałem i dziwiłem się. Nic nie dawało przecieranie oczu, ni potrząsanie głową. Nic. Widziałem dokładnie, jak gacie na drabinie. Mało tego - upadły pojazd zaczął wtedy wydawać dźwięki. Przeróżne odgłosy: buczał jak bąk, dyszał jak kapelan, syczał jak żmija, piszczął jak piszczalki, a w reszcie jakby zakaszlał i uciął.

Wstałem, otrzepałem się z piasku i pomyślałem: "Co dalej?"

Odpowiedzi na to pytanie udzieliłem sam sobie dość szybko: "Nie wiem, kurwa!", a następnie z całej siły grzmotnąłem się w zęby. Pomogło. Od razu znalazłem coś lepszego - zrozumiałem, że ktoś tam albo coś tam w środku musi siedzieć. Chwilę później, jak już podziękowałem za cierpienie, otrzymałem naoczne zapewnienie, że siedzi, bo dostrzegłem w okienkach, że coś tam się rusza. I nie tylko rusza. Chyba też jęczało cichutko, ale tego nie jestem pewny, bo naprawdę mocno się uderzyłem. Ku chwale Ojczyzny!

Ale co robić dalej? "Biegać po księdza, żeby poświęcił? Po lekarza? Wyleczyłby? Do grabarza, by zakopał głębiej?"

W podjęciu najlepszej, z możliwych, decyzji przeszkodził mi widok: W jednym z okrągłych okien ukazało się duże, białe, ciekawskie oko, osadzone w żabiej skórze.

Patrzało badawczo. Trudno powiedzieć, czy ze złością, czy ze strachem, czy ze świętobliwą pogardą połączoną z miłością. Było tak inne, że nie sposób odgadnąć. Podobnie jak nie łatwo poznać po oczach ropuchy, czy żaby, co ta sobie myśli.

Przeglądaliśmy się sobie tak dłuższą chwilę przez szybkę, a potem okrążyłem statek dookoła. Dotykałem, badałem, stukałem w karoserię, w okienka, a oko nie spuszczało ze mnie się, pojawiając się to tu, to tam - w odpowiednich momentach, z prawidłowej strony. "Inteligentna bestia".

- No wylaż! - poprosiłem w końcu.

Oko opuściło powiekę; ta zasłoniła je do połowy i lekko na ukos. Teraz wiedziałem, o co chodzi. Ten gest rozumiałem nawet u żab - węszenie podstęp.

- Wylaż - powiedziałem. Tym razem trochę ciszej, bardziej gościnnie.

Stwór rozejrzał się w swojej puszcze na boki i... nic. Nuda. Wydawał się jakby niezdecydowany, gapowaty, dupowaty jakiś.

Wtedy pomyślałem, że może "nie rozumieć po ludzku". Zacząłem więc cmokać: "No, chodź. No. Noooo, chodź do pana.", i klepać w kolana.

Nic nie dało. Poleciały więc kolejno: "cip, cip, cip", "gę, gę, gę", "kwi, kwi". Ciągłe nic, reakcji brak. Żabi? "Re, re, kum, kum." Nie. "Cip, cip..."

Oko wyglądało jakoś... na obrażone. Ale kto je tam wie i nie istotne w sumie, bo najważniejsze, że w końcu coś zadziało. "Cip? Kum?"

UFO zadrżało. Syknęło z dysz bocznych, a potem puk i odskoczyło wieczko.

Muszę przyznać, że wystraszyły mnie te dźwięki nie mało. Odskokczyłem jakby automatycznie jeden krok wstecz, a w tej samej chwili, jak pajac z pudełka, wyskoczył ufok z UFA!

Stanął sobie dumnie na dachu swojego pojazdu. I stało się jasne.

"Przydałyby się widły" - pomyślałem.

W tym samym momencie pomyślałem też, że trochę za późno o tym pomyślałem. Nie wolno przecież, za nic w świecie, ufać nieznanym ludziom, a co dopiero nieznanym obcym. W takich sytuacjach, powinno się stosować nadzwyczajne środki ostrożności do kwadratu, a ja wykazałem się głupotą do kwadratu. Zwyczajnie.

No, ale na szczęście nie było aż tak źle, jakby mogło być. Żyję przecież, a to jest mocnym dowodem, że mogło być gorzej. Ufok okazał się mało agresywny. Wymachiwał, co prawda, długimi ramionami, a koniuszkiem jednego z nich stukał się w czoło, krzycząc "cip, cip...", ale nie wyglądał na mordercę. Co to, to nie. Był najzwyczajniej w świecie obrażony. Chyba za "cip,cip", coś tam najwidoczniej znaczące w jego języku narodowym, albo o coś innego. Tak czy inaczej - dzięki Bozi - nie rzucił się na mnie, nie udusił, nie zjadł, a tylko pogroził i sobie poskakał.

- Dobra, dobra - powiedziałem, widząc, że nigdy nie skończy wywijać, i czując, że atakować też nigdy nie będzie.

Zamknął się. Opuścił wszystkie ramiona na karoserię, odsapnął, rozejrzał się dookoła i zeskoczył na glebę.

Wyglądał przekomicznie śmiesznie. Ogólnie. Całą jego sylwetkę dałoby się wpisać w stożek lub piramidę, która jakby dla hecy, nieco poniżej czubka ma jedno wielkie oko. Wierzchołek stożka natomiast ścięto i od góry wydrążono zwężającą się ku dołowi dziurkę - taki pomarańczowy otwór, jakie mają na przykład czynne wulkany.

Nieco poniżej oka, z kolei, znajdowała się inna dziurka, szparka - małe różowe, pionowe rozcięcie.

Nogi jak u ośmiornicy, a rąk wcale, czyli zupełnie, jak u ośmiornicy. Wysokość - niewiele większa niż szerokość, a przyrównując do mojego wzrostu, to oko nieco powyżej mojego pępka. Patrzało więc na mnie z dołu, spod byka można by rzec, a jednak nie wyglądało groźnie, bo długie na pół łokcia i podkreśnione rzęsy psuły cały, byczy efekt skutecznie.

Staliśmy tak twarzą w "twarz" dłuższą chwilę milcząc, a wreszcie...

- Dzień topry - usłyszałem. I myślałem, że padnę, bo słowa te wyszły ze szparki pod okiem. Ryknąłem śmiechem, ale krótko trwał ten wybuch i opanowałem się wnet, bo oto gość wyciągnął do mnie jedno ze swoich kiszkatych ramion...

- Dzień topry - powtórzył i czekał na uścisk dłoni.

Chwyciłem więc nieśmiało, z pewnymi oporami ten zielony koniuszek i ścisnąłem jak kielbasę.

- Dzień dobry, gościu.

- Mash cosz do picza? - zapytał konkretnie ufok, kończąc grzeczności. - Mam sucho - dodał i cofnął ramię.

- M... mam - odparłem. Zaskoczył mnie nieco obrót spraw. - Mam, mam. Ale musisz poczekać.

- Poczekał. Maszyna popsuta. Weź idź jush. Pszyniesh, bo zdechne.

Po tym wyznaniu odwrócił się i zaczął majstrować przy swoim pojeździe, a ja tup tup - oddaliłem się w kierunku podwórza. Słońce było w zenicie, fajnie grzało w plecy. Super pogoda.

Okrzyknąłem stodołę, kilka kroków i dotarłem do budynku gospodarczego - chlewa. Wklepałem sześciocyfrowy kod dostępu PIN, zamek zazgrzytał i drzwi się otwały. Zdjąłem od razu z parapetu brązowy dzbanek - ten od sypania kurom. Wysypałem jęczmień, wydmuchałem wszystkie pyłki i podstawiłem go pod kranik.

Ściekało sobie powoli kap kap, więc miałem trochę czasu. Rozpędziłem kijem kury, kurony, kruki i wrony. Wyfrunęły pod sufit z rykiem i zostawiły po sobie jedno urocze jajeczko. Puk i połknąłem.

Kap, kap, kap... I dzbanek był już pełny.

Ośmiornica nawet nie zauważyła, kiedy wróciłem, tak była zajęta pracą. Nie chciałem jej przerywać, więc usiadłem sobie na trawce pod stodołą - tam, gdzie siedziałem wcześniej - i obserwowałem. A bimberk czekał.

Kreatura stała, nad wjazdem swojego wozu, wsparta na kilku niby-nózkach, a resztą z odnóży wywijając na wszystkie strony - kilkoma na zewnątrz, a resztą we wnętrzu, w kabinie. Stuki, puki, brzdęki... Świetnie jej szła ta robota. Ja lubię ciężką pracę, bardzo lubię na coś takiego popatrzeć, no ale jak długo można? Księżycówka się ulatniała.

- Eee! - krzyknąłem.

Ufok dosłyszał. Ramiona zmniejszyły obroty, a wreszcie zatrzymały się w powietrzu i białe oko wychyliło się z wnętrza statku.

- No chodź! Potem skończysz.

Chwilę później dziwoląg leżał obok mnie, na sianie, i ciężko dyszał.

- No to siup. Trzymaj.

Żmijowate ramię owinęło dzban, cmoknęło kilka przyssawek i naczynie powędrowało do góry, wysoko - nad głowę stwora.

- Eeee! - Pomyślałem, że mu odbiło. Że bierze zamach i chce tym rzucić, ale on spokojnie, spokojnie... przechylił naczynie i polał wodę na swój łeb. Wtedy zrozumiałem; ta dziura w głowie to gęba! - Jadaczko-pijaczka, a szparka pod okiem, to otwór mówiący. Zachwyciła mnie pomysłowość tego rozwiązania, szczerze mówiąc. Można tak jeść, pić i gadać jednocześnie, bez przerwy. "Całkiem to sprytne" - myślałem, patrząc jak rzeczka gorzałki spływa mu prosto do głowy. No i w tym momencie zaimponował mi jeszcze bardziej - tym spustem. Wlał w siebie, jak Boga kocham, ponad pół dzbana, mocnego jak sto diabłów, samogonu i nawet nie wzdygnął.

Powiedział tylko:

- @#\$%^`.

I odstawił dzbanek na trawę.

Teraz ja. Teraz Polska. Pociągnąłem dużego łyka, by gorszym nie być i chwilę później rozmawialiśmy już leżąc. Jak starzy kumple.

- Ale to słońce dziś piecze - stwierdziłem, ściągając koszulę.

- To to jest słońce?! - zapytał i zerwał się na równe "nogi".

- No, a co innego? Słońce.

- A to #\$@^!

I znów upadł na plecy.

przejdźcie do części drugiej

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 27.05.2008 21:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.